Izrael Joszua Singer

Rodzina Karnowskich



Izrael Joszua Singer

RODZINA KARNOWSKICH

Wydawnictwo Estymator
www.estymator.net.pl
Warszawa 2026

ISBN: 978-83-68790-58-0
Tłumaczenie: Maria Krych
Projekt okładki: Pola Augustynowicz
Tekst: Wydawnictwo Dolnośląskie, Wrocław 1992
E-book zgodny z Europejskim Aktem Dostępności EAA

Pamięci mojej Rodziny oraz Przyjaciół
poległych w walce z okupantem i zamordowanych
w hitlerowskich obozach zagłady

Tłumaczka

Spis treści

CZĘŚĆ PIERWSZA
Rozdział 1
Rozdział 2
Rozdział 3
Rozdział 4
Rozdział 5
Rozdział 6
Rozdział 7
Rozdział 8
Rozdział 9
Rozdział 10
Rozdział 11
Rozdział 12
Rozdział 13
CZĘŚĆ DRUGA
Rozdział 14
Rozdział 15
Rozdział 16
Rozdział 17
Rozdział 18
Rozdział 19
Rozdział 20
Rozdział 21
Rozdział 22
Rozdział 23
Rozdział 24
Rozdział 25
Rozdział 26
Rozdział 27
Rozdział 28
Rozdział 29
Rozdział 30
Rozdział 31
Rozdział 32
CZĘŚĆ TRZECIA
Rozdział 33
Rozdział 34
Rozdział 35
Rozdział 36
Rozdział 37
Rozdział 38
Rozdział 39
Rozdział 40
Rozdział 41
Rozdział 42
Rozdział 43
Rozdział 44
Rozdział 45
SŁOWNICZEK

CZĘŚĆ PIERWSZA

Rozdział 1

O Karnowskich z Wielkopolski wiadomo było, że są uparci i przekorni, a jednocześnie to mędrcy, uczeni, bardzo zdolni ludzie.

Wiedzę wyrażały ich wysokie czoła i czarne jak węgiel oczy, głębokie, niespokojne; upór i krnąbrność – wydatne, zbyt duże nosy, znamionujące na ich szczupłych twarzach ironię i zuchwałość. Z powodu tego uporu nikt z tej rodziny nie został rabinem, mimo że łatwo to mogli osiągnąć. Trudnili się handlem, najczęściej byli brakarzami pracującymi przy wyrębie lasów lub pływali tratwami Wisłą do Gdańska. W małych domkach i budach, które postawili dla nich na pływających klocach chrześcijańscy przewoźnicy, wozili wiele ksiąg *Gemary*, studiując je z zamiłowaniem. Z powodu swego uporu nie chcieli jeździć do żadnego rabina. Poza księgami religijnymi interesowali się również naukami świeckimi – matematyką, filozofią, czytali nawet księgi niemieckie, drukowane ostrymi gotyckimi literami. Nie byli bogaczami, zarabiali tylko na swoje utrzymanie. Mimo to kojarzyli swych synów z najznaczniejszymi domami w Wielkopolsce. Najbogatsze panny chętnie wychodziły za wysokich, wykształconych, śniadych, przesiąkniętych przyjemnym zapachem lasu i wody młodzieńców z rozgałęzionej rodziny Karnowskich. Dawid Karnowski został zięciem Lejba Milnera, najbogatszego kupca drzewnego w Mielnicy.

Od razu w pierwszą sobotę po ślubie, przy odczytywaniu *Tory*, zięć bogacza zadarł z rabinem i najznakomitszymi obywatelami.

Dawid Karnowski, znawca języka hebrajskiego i pedant na punkcie jego gramatyki, mimo że Wielkopolanin, czytał rozdział Jezajasza z *Księgi Proroków* akcentem litwackim, nadmiernie poprawnie i w zbyt oświeceniowym stylu, co nie bardzo odpowiadało zgromadzonym w synagodze chasydom. Po nabożeństwie rabin delikatnie dał do zrozumienia obcemu młodemu człowiekowi, że ludziom w Mielnicy obca jest ta litwacka, tradycjonalistyczna hebrajszczyzna.

– Rozumiesz, młody człowieku – mówił rabin żartobliwie – nie sądzimy, że prorok był litwakiem, a na pewno nie był przeciwnikiem chasydyzmu.

– Wręcz przeciwnie, rabinie – odpowiedział Dawid Karnowski. – Udowodnię, że prorok Jezajasz był litwakiem i przeciwnikiem chasydyzmu.

– Jakiż to dowód? – zapytał rabin, otoczony najznaczniejszymi obywatelami, którzy z zainteresowaniem przysłuchiwali się starciu między nim a obcym erudytą.

– Po prostu, rabinie – odpowiedział Dawid Karnowski. – Gdyby prorok Jezajasz był polskim Żydem i chasydem, nie znałby gramatyki i pisałby błędnie po hebrajsku, jak wszyscy bogobojni Żydzi i chasydzcy rabini.

Takiego afrontu ze strony młodego człowieka, w dodatku w obecności wszystkich Żydów, rabin się nie spodziewał. Zmieszany, że obcy wystawił go na pośmiewisko za to, że wyraził swoje zdanie, zaczął się jąkać i trochę wycofywać, lecz mówił bez związku, co go jeszcze bardziej zmieszało. Dawid Karnowski ironicznie spoglądał na zawstydzonego rabina. Upór i przekora, charakterystyczne dla Karnowskich, wyzierały z jego wydatnego nosa, nieproporcjonalnie dużego na tle jego młodej, szczupłej, śniadej twarzy.

Od tego czasu rabin odczuwał lęk wobec obcego. Obywatele, którzy stali obok niego i jego teścia przy wschodniej ścianie, ważyli każde słowo, które z nim zamieniali. Lecz kiedy pewnej soboty obcy wniósł herezję do synagogi, rabin i ogół modlących się przestali się go obawiać i rozpoczęli z nim otwartą walkę.

Zdarzyło się to podczas odczytywania *Tory*, gdy Żydzi zwrócili głowy w stronę wschodnią, ku ambonie, i cicho powtarzali za lektorem tekst ze swych *Pięcioksięgów*. Dawid

Karnowski w nowym tałesie, którego nie założył na głowę, lecz – jako przeciwnik chasydyzmu – na ramiona, również zaglądał do swego *Pięcioksięgu*. Nagle księga wypadła mu z rąk. Karnowski powoli schylił się, aby ją podnieść, lecz sąsiad ze wschodniej ściany, który wydawał się składać wyłącznie z tałesu i brody, uprzedził go. Podniósłszy szybko otwarty *Pięcioksiąg*, ucałował go, aby przeprosić świętą księgę za upuszczenie jej. Chciał ją zwrócić zięciowi bogacza, lecz nagle połapał się, że pocałował litery, jakich nigdy jeszcze w żadnym *Pięcioksięgu* nie widział. Ani to był hebrajski, ani żydowski. Dawid Karnowski wyciągnął rękę po swój *Pięcioksiąg*. Lecz Żyd, który zdawał składać się wyłącznie z tałesu i brody, nie kwapił się, by mu go zwrócić. Zamiast oddać zięciowi bogacza, pokazał *Pięcioksiąg* rabinowi. Rabin szybko rzucił okiem, odwrócił kartę tytułową i poczerwieniał ze strachu i zaskoczenia.

– *Pięcioksiąg* Mojżesza Mendelssohna – krzyczał i spluwał. – *Biur*. Bluźnierstwo przeciw Bogu!

W synagodze wszczął się tumult, hałas.

Lektor stukał pięścią w stół, aby pozwolono mu dokończyć czytania, sam rabin uderzał w pulpit, by zebrani wysłuchali go do końca, lecz wzburzony tłum wrzał i gorączkował się. Walenie w stół, okrzyki „sza" wzmagały jeszcze tumult. Lektor widząc, że nikt go nie słucha, pośpiesznie, niemal bez przestanku doczytał fragment *Pięcioksięgu*. Kantor odmówił bez przyśpiewu Musaf. Gdy tylko wypowiedziano ostatnie „Alejnu" przeciwko obcym bożkom, a właściwie zanim zakończono modły, w synagodze zaroiło się jak w ulu.

– Trefne bluźnierstwo Mojżesza z Dessau – pienił się rabin, wskazując palcem na *Pięcioksiąg* Dawida Karnowskiego. – O tym jeszcze nie słyszano w Mielnicy. Nie wpuszczę do naszego miasta berlińskiego wychrzty.

– Mojżesz żarłok, przeklęte niech będzie imię jego i pamięć o nim – wtórowali mu chasydzi i spluwali z odrazą.

Prości Żydzi nadstawiali uszu, chcąc coś zrozumieć z tego, o czym mówią ludzie wykształceni. Żyd, który sprawiał wrażenie jakby składał się wyłącznie z tałesu i brody, krążył po synagodze jak wicher.

– Jak tylko to spostrzegłem, zrozumiałem, że nie jest to prosta sprawa – opowiadał któryś raz z rzędu.

– Poczułem to od razu.

– Ładnego zięcia zahandlowaliście sobie, reb Lejb – robili wyrzuty miejscowemu bogaczowi członkowie kongregacji – nie ma o czym mówić.

Lejb Milner był zmieszany. Spokojny Żyd, o dostojnym wyglądzie, z piękną białą brodą, z tałesem obramowanym srebrną koroną, w okularach w złotej oprawie, nie miał pojęcia, dlaczego rabin tak się pieni na jego zięcia i czego chcą od niego rozgorączkowani Żydzi. Syn arendarza, nowobogacki, poza umiejętnością modlenia się nie posiadał religijnej wiedzy. Do uszu jego dotarło słowo *Biur,* lecz o jakie piwo chodzi [gra słów: bir po żydowsku znaczy piwo (przyp. tłumaczki)], co to ma wspólnego z nim i z jego zięciem, nie miał pojęcia.

– Rabi, co się tu dzieje – dopytywał się.

Rabin palcem wskazywał na *Pięcioksiąg* i wytykał z gniewem.

– Widzicie, reb Lejb, ten Mosze Mendelssohn z Dessau, niech imię jego będzie przeklęte, odstąpił od Izraela! – krzyczał. – Swą heretycką nauką prowadził Żydów do przyjmowania chrztu.

Choć Lejb Milner wciąż nie rozumiał, kim jest Mosze z Dessau i co on zdziałał, z krzyku rabina uświadomił sobie, że jest to jakiś Żyd-misjonarz, który jego zięciowi perfidnie wcisnął zakazaną książkę hebrajską, jak to się nieraz zdarza. Chciał uciszyć hałas, zaprowadzić spokój w synagodze.

– Żydzi, mój zięć, oby żył, zapewne nie wiedział, kim jest ten Mojżesz – usprawiedliwiał zięcia. – Nie przystoją Żydom kłótnie w synagodze. Chodźmy raczej do domu na kidusz.

Lecz jego zięć nie chciał iść do domu odprawiać kiduszu. Przez otaczających rabina ludzi próbował się przecisnąć do niego.

– Zwróćcie mi mój *Pięcioksiąg* – wołał z gniewem. – Chce otrzymać mój *Pięcioksiąg*.

Rabin nie chciał wypuścić *Pięcioksięgu* z rąk. Nie wiedział, co z nim zrobić. Gdyby to był zwykły zakazany druk i gdyby to nie była sobota, poleciłby szamesowi napalić w piecu i spalić bezeceństwo na oczach wszystkich, jak nakazuje Prawo. Lecz była sobota, przy tym dessauerowska herezja wydrukowana była łącznie z *Torą*, stronica za stronicą plugastwo obok Pisma Świętego. Paliły go ręce, gdy trzymał zbezczeszczoną świętość, lecz nie chciał jej zwrócić właścicielowi.

– Nie, młody człowieku, to już nie ujrzy światła dziennego! – krzyczał groźnie.

Znów Lejb Milner zaangażował się do przywrócenia spokoju.

– Dawidzie, zięciu mój – prosił. – Ile kosztuje *Pięcioksiąg*? Kupię ci najdroższe *Pięcioksięgi*. Zostaw to i chodź do domu.

Dawid Karnowski nie chciał go słuchać.

– Nie – irytował się. – Nie zostawię mu *Pięcioksięgu*, za skarby świata.

Lejb Milner próbował inaczej.

– Dawidzie, Lea czeka w domu na kidusz – powiedział. – Zasłabnie z głodu.

Dawid Karnowski tak był pochłonięty kłótnią, że nawet nie pamiętał o swojej Lei. Jego oczy, mimo soboty, miotały płomienie, ostry nos przypominał dziób krogulca. Był gotów na wojnę ze wszystkimi. Przede wszystkim domagał się, by mu rabin dowiódł, czy jest choćby jedno heretyckie słowo w *Biurze* Mendelssohna, następnie sypał cytatami z *Tory* i innych ksiąg, aby wykazać, że zarówno rabin, jak i zgromadzeni członkowie kongregacji, słowa nie znają z ksiąg Mojżesza Mendelssohna i nie są nawet w stanie ich zrozumieć. W końcu wpadł w taką złość, że krzyczał, iż o znajomości *Tory*, jaką błogosławionej pamięci rabi Mojżesz Mendelssohn miał tylko w pięcie, o jego mądrości i bogobojności, rabin i wszyscy bogobojni Żydzi razem wzięci nie mają żadnego pojęcia.

Tego było już za wiele. Obraził rabina i bogobojnych Żydów, mówiąc w świętym miejscu o heretyku „rabi" i „błogosławionej pamięci". Wyprowadzeni z równowagi chasydzi po prostu wzięli zięcia bogacza pod ręce i wyprowadzili z synagogi.

– Idź do wszystkich diabłów razem z twoim rabinem, przeklęte jego imię! – krzyczeli za nim. – Idź do berlińskiego wychrzty, mędrcze z dziobem.

Dawid Karnowski ich posłuchał.

Choć długo jeszcze mógł pozostawać w bogatym domu na utrzymaniu teścia, nie chciał żyć w mieście, gdzie go tak publicznie znieważono. Teść przekonywał go, obiecywał, że progu synagogi więcej nie przestąpi, że będzie się modlił w bożnicy, gdzie bywają ludzie świeccy i rozumni. Może też zorganizować minjan u siebie w domu, jeżeli zięć sobie życzy. Lea, jego żona, prosiła, aby jej nie zabierał z rodzinnego domu. Dawid Karnowski nie ustępował.

– Ani dnia dłużej nie pozostanę wśród tych ignorantów i dzikusów – mówił. – Choćby mi ofiarowano pokój pełen złota.

W złości obrzucał mieszkańców Mielnicy najgorszymi obelgami, zaczerpniętymi z naukowych ksiąg, które czytał. Nazywał ich ciemniakami, niszczycielami światła, poganami, osłami.

Nie tylko chciał opuścić miasto, które mu przyczyniło takiej hańby, lecz nawet kraj, który tkwi w ciemnocie – Polskę. Dawno już marzył o Berlinie, gdzie jego rabi, mędrzec Mojżesz Mendelssohn, niegdyś mieszkał, pisał i rozprzestrzeniał światło na cały świat. Już w

latach chłopięcych, gdy z przekładu *Pięcioksięgu* Mendelssohna uczył się języka niemieckiego, pociągał go kraj za granicą, z którego promieniuje wszystko, co dobre, światłe i rozumne. Gdy dorósł i pomagał ojcu w handlu drzewnym, często musiał czytać pisane po niemiecku listy z Gdańska, Bremy, Hamburga i Berlina. Zawsze wiało od nich czarem zagranicy. Wyraz *Hochwohlgeborn*, umieszczony przy adresie, tchnął subtelnością i szlachetnością. Nawet kolorowe znaczki pocztowe z podobizną obcego cesarza budziły w nim tęsknotę do tego obcego, ale swojskiego kraju, którego języka wyuczył się z *Pięcioksięgu*. Berlin w jego oczach symbolizował zawsze oświecenie, mądrość, szlachetność, piękno i światło – o których można było tylko marzyć, lecz nigdy osiągnąć. Teraz zaistniała taka możliwość i Karnowski domagał się od teścia, aby mu wypłacił jego wielki posag i pozwolił przenieść się na drugą stronę granicy.

Początkowo Lejb Milner nie chciał o tym słyszeć. Chciał być razem z dziećmi i zięciami. Jego żona Nechama zatykała sobie uszy, aby czegoś podobnego nie słyszeć. Nie wypuści swojej Lei do obcego państwa. Za żadne skarby świata tego nie zrobi. Tak zawzięcie kiwała przecząco głową, że jej długie kolczyki uderzały o policzki.

Dawid Karnowski jednak dopiął swego. Wiele przekonując, opierając się na *Torze* i swojej mądrości, przytaczając mnóstwo rozumnych racji, z właściwym Karnowskim uporem dowiódł, że teściowie powinni pozostawić mu wolną rękę, aby udał się tam, gdzie go ciągnie serce. Dzień za dniem mówił, tłumaczył, argumentował, aż teść się złamał. Lejb Milner nie mógł się oprzeć racjom i logice rozumowania zięcia. Ale Nechama, teściowa, nie chciała się ugiąć. Nie i nie – upierała się. Choćby nawet, broń Boże, miało dojść do rozwodu. Tu wtrąciła się sama Lea.

– Mamo – powiedziała – pójdę wszędzie, gdzie mój Dawid mi każe.

Nechama spuściła głowę i rozpłakała się. Lea objęła ją za szyję i także zapłakała.

Dawid Karnowski postawił na swoim, jak zwykle. Lejb Milner wypłacił mu cały posag – dwadzieścia tysięcy w szeleszczących sturublowych banknotach. Dopiął również tego, że teść nawiąże z nim współprace i będzie mu wysyłał do Niemiec drewno tratwami albo pociągami. Teściowa napiekła mnóstwo ciast, ciasteczek, przygotowała wielką ilość soków, powideł, jakby córka wybierała się na pustynię i trzeba ją było na lata całe zaopatrzyć. Dawid Karnowski przystrzygł czarną bródkę, założył twardy kapelusz, surdut do kolan, kupił cylinder na soboty i święta, ponadto sprawił sobie wełniany surdut z jedwabnymi klapami.

***

W obcej stolicy, gdzie się osiedlił, w ciągu zaledwie paru lat Dawid Karnowski osiągnął kilka poważnych sukcesów. Po pierwsze, nauczył się mówić po niemiecku według wszelkich zasad gramatyki. Nie był to język z *Pięcioksięgu* Mojżesza Mendelssohna, lecz język kupców drzewnych, bankierów i urzędników. Po drugie, poszczęściło mu się w handlu drewnem i wybił się w tej branży. Po trzecie, w wolnym czasie przerobił sam z podręczników kurs gimnazjum, czego pragnął od lat młodzieńczych i nigdy nie mógł osiągnąć. Po czwarte, dzięki swej wiedzy i inteligencji udało mu się nawiązać kontakty z najwybitniejszymi osobistościami z nowej synagogi, gdzie się modlił, nie z Żydami przybyłymi ze wschodu, lecz z rdzennymi poważnymi obywatelami, od pokoleń zakorzenionymi w tym kraju.

Eleganckie mieszkanie Dawida Karnowskiego, mieszczące się w domu, którego front wychodził na ulicę Oranienburską, niedaleko Wielkiej Hamburskiej ulicy, na której znajdował się pomnik Mojżesza Mendelssohna, stało się miejscem zebrań uczonych. W obszernym gabinecie wzdłuż ścian, od podłogi aż do rzeźbionego sufitu, stały półki z książkami. Były to przeważnie stare księgi i bibliofilskie okazy nabywane u księgarza Efraima Waldera w żydowskiej dzielnicy przy ul. Dragońskiej. Często wieczorami u Dawida Karnowskiego w głębokich skórzanych fotelach siedział nie tylko rabin z jego synagogi – dr

Szpajer, lecz również uczeni i intelektualiści, bibliotekarze, nauczyciele z seminarium, a nawet stary profesor Breslauer, najstarszy członek kolegium seminarium rabinackiego. Wszyscy oni schodzili się u Dawida Karnowskiego, by dyskutować o *Torze*, mądrości Izraela.

Po trzech latach Lea urodziła pierwszego syna. Karnowski nadał mu dwa imiona – Mojżesz, ku czci Mojżesza Mendelssohna, imię żydowskie, którym będzie wywoływany do *Tory*, gdy dorośnie i drugie imię niemieckie Georg zniemczone imię ojca Dawida Karnowskiego, Gerszona. Imienia tego miał używać w kontaktach z ludźmi poza domem, w trakcie działalności handlowej.

– Bądź Żydem w domu, a Niemcem poza nim – powiedział gospodarz ceremonii obrzezania Dawid Karnowski swemu synowi po hebrajsku i po niemiecku, jakby dzięki temu niemowlę miało lepiej zrozumieć wypowiedziane zalecenie.

Zaproszeni intelektualiści oraz rabin, dr Szpajer, wszyscy w czarnych surdutach i cylindrach, przytakiwali z zadowoleniem gospodarzowi ceremonii obrzezania.

– Tak, tak, czcigodny panie Karnowski – powiedział dr Szpajer, głaszcząc swą spiczastą brodę, cienką i ostrą jak zatemperowany ołówek – zawsze ten złoty środek: Żyd między Żydami i Niemiec wśród Niemców.

– Tylko stary złoty środek jest dobry – dodali goście i założyli śnieżnobiałe serwetki na wysokie, sztywne kołnierze, gotowi do wystawnej, uroczystej uczty.

Rozdział 2

Największym szczęściem dla Lei Karnowskiej jest pochwała jej dziecka, zwłaszcza stwierdzenie, że wdało się w ojca.

Chociaż w ciągu pięciu lat, jakie upłynęły od chwili, gdy urodził się jej jedynak, mnóstwo razy słyszała od kobiet komplementy, że dziecko jest piękne, udane i podobne do ojca jak dwie krople wody, chce to wciąż słyszeć na nowo.

– Spójrz, Emmo – odrywa służącą od pracy, aby popatrzyła na jej chłopca tak, jakby ta go nie znała – powiedz, czy nie jest słodki, Emmo?

– Oczywiście, łaskawa pani.

– Wykapany ojciec, nieprawdaż, Emmo?

– Zupełnie wykapany, łaskawa pani.

Emma wie, jak wszystkie kobiety, że matki lubią słuchać, iż ich dzieci podobne są do ojca, nawet gdy tak nie jest. Lecz w tym wypadku nie musi kłamać – mały Georg jest odbiciem Dawida Karnowskiego. Ma płomienne czarne oczy, bardzo wcześnie ocienione czarnymi brwiami, za gęstymi i zbyt ostro zarysowanymi jak na dziecko. Ma ciemne, śniade policzki i pełne, pulchne rączki. Nos, typowy dla Karnowskich, na dziecięcej twarzyczce zawczasu wyraża upór i krnąbrność. Czerń włosów, których matka nie chce obcinać, przechodzi w błękit. Emma chce w chłopcu odnaleźć podobieństwo do matki, lecz jest to bardzo trudne. Lea Karnowska jest szatynką, ma jasną cerę, szarozielone oczy, jej pełna twarz i postać wyraża wiele kobiecej dobroci.

– Usta ma zupełnie podobne do łaskawej pani – mówi w końcu Emma, aby jakąkolwiek cząstkę swej chlebodawczyni odnaleźć w jej dziecku.

Ale Lea nie chce tego przyznać.

– Nie, to są usta ojca – mówi. – Spójrz, Emmo.

Obie kobiety oglądają chłopca, dziko rozbawionego drewnianym koniem, na którym się buja. Mały odczuwa zainteresowanie kobiet, swoją ważność i pokazuje język. Emma jest obrażona.

– Mały, brzydki diabeł – karci go.

Czerń włosów chłopca i jego śniada cera przywodzi jej zawsze na myśl diabła. Lea Karnowska wpada w taki macierzyński zachwyt, gdy mały pokazuje jej język, że gwałtowanie bierze go na kolana i obsypuje gorącymi pocałunkami.

– Szczęście, pociecho, skarbie, królu mój, oby najmniejszy twój ból przeszedł na mamę, mój słodki Moszełe – szepcze żarliwie, przyciskając główkę chłopca do swej obfitej piersi.

Mały Georg wyrywa się z objęć matki, kopie pulchnymi nóżkami jej kolana.

– Puść mnie, *mutti*, muszę do mego konia – krzyczy rozgniewany.

Nie lubi, gdy matka gorąco go całuje i szczypie w policzki. Bardziej jeszcze złości się, gdy, matka mówi do niego obco, niezrozumiale i nazywa obcym imieniem. Nikt, ani ojciec, ani służąca Emma, ani dzieci w ogrodzie nie rozmawiają z nim takim obcym językiem, wszyscy nazywają go jego imieniem Georg albo zdrobniale Orie. Tylko matka rozmawia z nim inaczej i inaczej go nazywa. Dziecko tego nie lubi.

– Nie jestem Moszełe, jestem Georg – rozgniewany poucza matkę.

Lea całuje jego czarne oczy.

– Złośnik, uparciuch, Karnowski, Moszełe, Moszełe, Moszełe – szepcze w gwałtownym uniesieniu.

Aby go udobruchać, daje mu duży kawałek czekolady, choć jej Dawid nie pozwala dziecku dawać za dużo słodyczy, aby go nie rozwydrzać. Mały gryzie białymi ząbkami brązową czekoladę i zadowolony zapomina o obcym imieniu, nawet pozwala się matce całować, ile tylko ona chce.

Gdy duży ścienny zegar w jadalni wybija godzinę ósmą, Lea kładzie swe dziecko do łóżeczka. Chce to robić Emma, lecz Lea nie pozwala. Lubi sama układać Georga do snu. Myje mu buzie i zabrudzone czekoladą rączki, zdejmuje niebieskie marynarskie ubranko przybrane złotymi guzikami, białymi tasiemkami i kotwicą. Zakłada mu szeroką, długą do stóp koszule, wsadza na ramiona i zanosi od jednej mezuzy do drugiej, aby je ucałował przed snem. Mały całuje mezuzy, jak mu matka każe. Nie wie, co to jest, ale wie, że kiedy je całuje, przychodzą do jego łóżeczka dobrzy aniołowie i całą noc go strzegą. Mezuzy tkwią w małych rzeźbionych pudełeczkach błyszczących jak złoto, co małemu się podoba. Gdy matka odmawia z nim *Krias Szma* – chłopczyk wybucha śmiechem. Obce hebrajskie słowa bardzo śmiesznie brzmią w jego uszach, jeszcze śmieszniej niż żydowskie. Wierzga nogami, śmieje się niepohamowanie, gdy matka wnosi oczy do rzeźbionego sufitu i długo przeciąga „Jedyny" w *Szma-Israel*. Przypomina mu ptaka pijącego wodę i mały Georg gdacze jak kura. Święte słowo „Jedyny" wymawia jak ko-ko-ko…

Lea Karnowska blednie ze strachu. Obawia się, by dobrzy aniołowie, których przywołuje do czuwania nad łóżeczkiem dziecka – Michał z prawej, Gabriel z lewej strony, Ariel u wezgłowia, a Rafael z tyłu – nie uczynili czegoś złego chłopcu, który przedrzeźnia święte wyrazy.

– Dziecko moje – prosi go gorąco – nie rób tego, powtarzaj, skarbie, „Całym naszym sercem i duszą"…

– Bełebeche, chełeszeche – mówi malec i śmieje się głośno dźwięcznym śmiechem, rozbrzmiewającym po wszystkich pokojach obszernego mieszkania.

Mimo lęku, że święte słowa zostają ośmieszone, Lea wybucha śmiechem, śmieje się z komicznej wymowy chłopca i jego dzikich błazeństw. Wie, że grzeszy, ale nigdy nie może powstrzymać się od śmiechu, gdy ktoś się śmieje. Śmieje się głośno, do łez. Naraz uprzytamnia sobie, że Dawid w gabinecie może to usłyszeć. Wie, że nie lubi on śmiechu, przy tym są u niego goście, poważni ludzie, więc Lea kryje usta w dziecięcej poduszce.

– Spać, spać! – udaje, że się gniewa na rozbawione dziecko, całuje je od główki do nóżek, każdy paluszek u rączek, potem każdy paluszek u nóżek, odwraca chłopca i znów całuje.

– Słodki jak miód – szepcze.

Okrywając go i przepraszając Boga za dziecięce igraszki, przechodzi do jadalni, znużona śmiechem i gorącym macierzyńskim przeżyciem.

– Emma, herbata dla panów! – woła w stronę kuchni.

Poprawia ubiór i włosy, które dziecko jej potargało, wchodzi do gabinetu męża, aby poczęstować gości. Są to wyłącznie mężczyźni, wszyscy znacznie starsi od jej męża. Noszą ciemne, długie do kolan surduty i śnieżnobiałe koszule. Większość z nich nosi okulary. Wśród nich jest starzec o długich śnieżnobiałych włosach, które mu opadają na ramiona, i równie białej brodzie, wąsach i brwiach. Z tej oślepiającej bieli wygląda rumiana, wesoła twarz w okularach w złotej oprawie tkwiących na krótkim, mięsistym nosie. Nosi jarmułkę, pali długą porcelanową fajkę, która przydaje mu wygląd swojskiego rabina, czy też zgoła cadyka. Mówi wytwornym niemieckim językiem, jest profesorem.

– Dobry wieczór, panie profesorze! – mówi Lea rumieniąc się.

– Dobry wieczór, córeczko, dobry wieczór – mówi profesor Breslauer. Jego dziecięco zarumieniona twarz jaśnieje w gęstwinie śnieżnobiałych włosów i brody.

Lea wita się z pozostałymi panami, na których, choć są ubrani po europejsku i mówią po niemiecku, młodość w jeszybotach pozostawiła wyraźne ślady, ich maniery są przesadnie świeckie i ceremonialne. Rozmawiają z panią Karnowską z nadmierną uprzejmością.

– Dobry wieczór, łaskawa pani – mówią, kłaniając się niezręcznie – jak szacowne zdrowie?

KONIEC BEZPŁATNEGO FRAGMENTU

ZAPRASZAMY DO ZAKUPU PEŁNEJ WERSJI